M I E S I E C Z N I K   L I T E R A C K I

C Z E R W I E C   1 9 4 3

L I S T   D O   J A N A   B U G A J A

Od wielu miesięcy dłużen jestem Panu ten list. Kiedym poznał niektóre z wierszy Pana, w krotkich rozmowach ubiegłego lata i ubiegłej jesieni służyłem Panu pierwszymi fragmentami mego sądu o nich. Umówiliśmy się wówczas, że zamiast recenzji spróbuje w liście sformułować co myślę o wierszach przesłanych mi tymczasem w ich obecnej formie "Wierszy wybranych" Jana Bugaja. By odzew krytyka swoim wyglądem prywatnym był jakoś dostosowany do formy podobnie prywatnej, w jakiej jedynie udostępniać Pan może dzisiaj swoje utwory.

Istotna przyczyna zwłoki pomiędzy zapowiedzią a jej spełnieniem nie jest jednakże tak czysto formalna. Nie dlatego odwlekałem ten list, że - niestety - wiele jeszcze czasu mamy przed sobą, by kontynuować obyczaje przedromantycznych przodków literackich - nie drukować spiesznie, raczej przyjaciołom czytać niż tłumowi, poprawiać, wracać. Pseudoklasycyzm z łaski okupanta...

Zwlóczyłem z tym listem, ponieważ po wiele razy w ostatnich miesiącach powracałem do Pana "Wierszy wybranych". Myślę o nich przede wszystkim, że aczkolwiek pisane i udostępniane w pełni zawieruchy wojennej, gdzie niewiadomo jak przebiegać będą granice humanistyczne, granice dążności literackich i pokoleń, te wiersze już nie przynależą do międzywojennego dwudziestolecia. Nie dlatego, że jest Pan debiutantem i że zaczął Pan pisać dopiero w ciągu wojny. Niejedne czytałem z tzw. debiutów, po to jedynie, by dostrzec, jak powtarzają sie złe i zapóźnione echa tamtych lat. Jeszcze "czysta" awangarda w narodowym sosie...

To wrażenie przynależności do innego już czasu powstaje zapewne stąd, że przez formę i uczuciowość wierszy Pana czytam wyraźnie, iż to dwudziestolecie jest już dla Pana postacią tradycji. Nie tradycjonalizmu. Tradycją staje się każda dążność, staje się przeszłość niedawna, kiedy

zmusza do wyboru, do czerpania lub odrzucania i kiedy taki wybór dokonywać się może spontanicznie, bez koniecznego uczestnictwa w powstawaniu danej dążności, bez dowodu dlaczego się wybiera. O prądy z nami współżyjące walczymy, tradycję dobieramy według potrzeb naszych. I nowa potrzeba, jej specjalna kierunkowość, wymijająca całe okresy, uwypuklająca inne, za cały dowód starczy.

Wiersze Pana wybierają i odrzucają, a przez to że nie istnieją już dla Pana wrące do niedawna problemy, wyznaczają sobie miejsce nowe, to które sprawia, że w moim poczuciu są one już całkiem poza dwudziestoleciem ubiegłym. Przede wszystkim nie istnieje już dla Pana problem wyboru - poetyka bardziej tradycjonalistyczna według wzoru Skamandra, czy poetyka bardziej nowatorska według wzoru awangardy. Ta u początku dwudziestolecia ostra linia przedziału zamazywała się w drugim jego dziesiątku, ale i tak do ostatnich miesięcy pokoju padały bądź wyrzuty niewierności wobec awangardy, wtórego passeizmu i klasycyzowania bądź z drugiej strony głosy pochwały i pewności, że tylko przez powrót nad brzegi Skamandra czerpiesz wodę poezji żywej. To jest odrzucone jako całość nakazująca ten jedynie wybór. Tym Pan zapewne również mało się kierował w swych dyrektywach artystycznych, co np. przed laty dwudziestu Lechoń czy Tuwim sporem Brzozowskiego z Miriamem. Co zaś Pan wybrał, w moim przynajmniej mniemaniu, pokuszę się niżej odpowiedzieć.

Lecz i tło bliższe dla poezji Pana nie istnieje. Albowiem to odepchnięcie, o jakim wspomniałem, praktykowali już główni lirycy drugiego dwudziestolecia. Każdy z nich zaczynał jednak w pełnej szkole awangardy. Pan zaczyna w całkiem innej szkole - zaraz ją spróbujemy nazwać.

Najpierw o tle bliższem, które jest u Pana także nieobecne. Zasadniczymi formami uczuciowości tych liryków był pesymizm i katastrofizm. Z naszej perspektywy możemy powiedzieć, iż były to formy słusznego oczekiwania, sprawdzone, niestety, ponad miarę najgorszych przywidzeń. Nie znajduję u Pana przewagi tych postaw uczuciowych. Katastrofizmu nie

widzę ani śladu, to piętno wybite na uczuciach lat przed burzą w te wiersze już nie sięga, chociaż poczęte są pośród burzy. Z katastrofizmu wyłoniło się męskie zrozumienie historii, jej przebiegów i praw. Z pesymizmu pozostał jedynie nurt czystości i religijności. Pan już jest po stronie nadziei. Oby takie kształty uczuć okazały się znów słusznym oczekiwaniem, oby się równie spełniły, jak nabrały ciał i krwi najgorsze majaki.

Więc gdzie są patronowie poezji Pana? Proponuję cztery nazwiska, o układzie dosyć dziwnym, ale przecież zapowiedzieliśmy już wolność wyboru, kiedy stajemy w obliczu tradycji. - Słowacki, Norwid, Miłosz, Czechowicz. Patronowie dwaj główni i ci dwaj poeci, których styl z Pana stylem jest jakoś spojony, jednorzędny, niestety - nie wiem czy tę jednorzędność będę umiał przybrać w formuły krytyczne, chociaż mocno ją odczuwam.

Ażeby dobór tych właśnie patronów uzasadnić nie będę od ich poezji kroczył ku Pana lirykom, lecz pozwolę sobie wejść wprost w meritum sprawy, pozwolę sobie nazwać pewne narzucające się cechy artystyczne tych liryk, a może wówczas moja propozycja imienna stanie się jawniejsza. W lirykach Pana współistnieją, to się przeplatają, to sąsiadują ze sobą w jednym złożonym obrazie, to wreszcie dzielą między siebie całe utwory dwie dążności, których w tym układzie nie spotykam u żadnego z poetów dwudziestolecia: z jednej strony bardzo swobodna, kapryśna ale całkowicie plastyczna i wizualna <u>wizyjność</u>, z drugiej do skrótów myślowych, do kontrastów, niespodzianek znaczeniowych dążący <u>intelektualizm</u>.

Jedne z utworów Pana wypowiedziane są całkowicie w ten wizyjny i plastyczny sposób - wymienię "Legendę", "Magię", "Balladę o rzece", "Przypowieść". Inne znów konstruowane są prawie całkiem przy pomocy obrazów i skojarzeń intelektualnych - wymieniam dla przykładu " W żalu najczystszym", "Nie wstydź się tych przelotów", "U niebios rozkwitają -

cych". By argumentować jaśniej,cytuję fragment,gdzie ta dwoistość dyspozycji artystycznej ujawnia się szczególnie dobitnie:

Ty jesteś moje imię i w kształcie i w przyczynie
i moje dłuto lotne.
Ja jestem,zanim minie wiek,na końcu bezczynnie,
ptaków i chmur zielonych złotnik.
Ty jesteś we mnie jaskier w chmurze rzeźbiony blaskiem
nad czyn samotny.

Imię i dłuto,jaskier i czyn samotny w tej samej metaforze,w jej specjalnej jedności. Nie rozszczepienie bowiem, nie jakaś dysharmonia wynika w stylu Pana z tego dwoistego obrazowania, ale poprostu <u>specyficzna jakość stylu</u> Pana. Ta właśnie zdolność łączenia w jedno elementu abstrakcyjno-intelektualnego z elementem wizualno-fantazyjnym uderza w obrazowaniu Pana,jako jego znamię i nowość.

Lecz wizyjność plastyczna i intelektualizm znaczeń,czyniący obraz, to terminy dosyć ogólnikowe. Należy je bliżej oznaczyć. Liczna obecność kształtu,pięknie widzianego kształtu /"Magia"szczególnie/,oraz nasycenie barwą, a więc z pozoru cechy malarsko-realistyczne nie zmierzają w znanych mi wierszach do jakiegokolwiek realizmu plastycznego.Kształt i barwa mają tutaj cel fantazyjny i ornamentacyjny. Zważmy np.w poniższym fragmencie,jak fantastycznie zmniejszona,sprowadzona do wymiarów baśni i dziecinnej dłoni jest perspektywa takiego z pozoru bardzo malarskiego obrazu. Perspektywa, która jest przecie w malarstwie składnikiem par excellence realistycznym - gdy jej się nie zachowuje, powstaje z plam barwnych baśń,ornamentyka,rytm, a nie <u>iluzja rzeczywistości</u>. I gdy tak samo w obrazie słownym Pan perspektywy nie zachowa,efekt jest podobnie baśniowo-zdobniczy:

Wydęte karawelle o żaglach z czerwonych motyli
pachnące cynamonem,pieprzem i imbirem
upływają po morzach mosiężnych, a w tyle
delfiny ciągną jak antyczne liry.
Jacyż na rufach zdobywcy
odlani z płynnego złota,
w pieśniach wysmukłych jak skrzypce,
z puszystem wejrzeniem kota.
A zawsze tak samo daleko
dzwonią na widnokręgu
maleńkie archipelagi,
które dosięgnąć ręką.

Tam w wyspach małych jak uśmiech,
przez dżungle tygrysiej trawy
wędrują złote strusie
i szyldkretowe żyrafy.

Teraz możemy powrócić do patronów - tego rodzaju obrazowość, pozornie plastyczna, w istocie zaś swojej zdobnicza i płynna jest jedną z głównych cech stylu Słowackiego. Dlatego jego wymieniam na miejscu pierwszem. Dlatego również, ponieważ ta właściwość stylu Słowackiego nie leży bynajmniej u jego powierzchni, jest trudniejsza i istotniejsza, aniżeli te powinowactwa poetyckie, sprowadzające się naogół do powierzchownej muzyczności, które eksploatował nasz modernizm. I na skutek których w dwudziestoleciu oprócz "Podróży na Wschód" Balińskiego, niekiedy obrazów Lechonia, nikt do Słowackiego nie sięgał. Musiał być odłożony na czas jakiś, by został na nowo podjęty.

Zaczynałem zaś tę próbę analizy od kwestii tradycji. W tym stosunku Pana do Słowackiego widzę dowód, tego dowodu staram się dostarczyć, że ten problem jest dla Pana żywotny i bliski, jeżeli umie Pan czerpać i świeżą wartość poetycką znajdywać tam, w mistrzu opatrzonym i obgadanym, gdzie czeka ona czułego oka i serca. To zaś jedynie jest <u>życiem tradycji</u> i <u>życiem w tradycji</u> - zmienna, co pokolenie nowa, własnym osiągnięciem potwierdzana świeżość skarbów gotowych.

Ten patronat Słowackiego nie ogranicza się do opisanego wniosku. Przy pierwszych lekturach bardziej mnie uderzały inne powinowactwa i podobieństwa, typu takich strof:

O dziecko smutne, o ty zagubiony
w żalu najczystszym za wrót niedomknięciem,
którędyby duch przewiał natchnionym cyklonem
I wiarę święcił.

Ty gdzie odjeżdżasz, coś aniołów widział
w ludziach znużonych, co szli nad strumieniem
i już odbicia ich ujrzałeś światłem,
gdy były cieniem.

Dzisiaj jestem mniejszym zwolennikiem tych podobieństw. Zrazu mnie mocno uderzały i naprowadziły na Słowackiego. Jestem mniejszym, ponieważ mimo większej oczywistości takich związków są one łatwiejsze do osiąg-

nięcia aniżeli powinowactwa wyżej nazwane. Co nie znaczy wszakże, by były ograne i łatwe: sięgają przecie do stylu takich dramatów Słowackiego jak "Samuel Zborowski" /chóry mam na myśli/, jak "Zawisza Czarny", jak ówczesne liryki. Lecz gdyby je mnożyć, groziłyby trawestacją powierzchni tego stylu Słowackiego.

Liryka dwudziestolecia stała z wielkich naszych najgłówniej pod znakiem Norwida. I Pan jest spod tego znaku, ale znów na swój sposób. Przede wszystkim w stałym przeplocie z tradycją Słowackiego; te dwie linie rzadko kiedy występują u Pana wyodrębnione, w przeplocie, w jakim jest czar specyficzny Pańskiej strofy:

Ja wierząc tak w umarłych żywym obcowanie
i poznając - do krzywdy przykładam miecz rdzawy,
który jest krzywdzie miłość-rozpoznanie
i jest jak pod stopami zatana kłos trawy.
A choć znam płomień zaklęć jak piorun wśród ciszy
nie zawołam - w morz szumie nikt go nie usłyszy.

I tak przez ciało czekam, choć ognia potopy
niby wojsk krwawych skrzydła ciągną czarnym stropem.
I jestem. Czym ja jestem? - wierzący przez małość
rycerz gór zapomnianych - w zmartwychwstałe ciało.
/"Rycerz"/

Ponadto, co rzeczą równie doniosła, nie znajduję u Pana śladów podobnego przejmowania Norwida, jakie były dosyć często w dwudziestoleciu: trawestacja frazy, słownictwa i rytmiki Norwida, przejmowanie najbardziej dostępnej warstwy jego sztuki. Strof takich nie umiałbym zacytować z "Wierszy wybranych". Z ducha Norwida są w tych lirykach rzeczy istotniejsze - i dla formy Pana i dla stylu Norwida istotniejsze. Element intelektualny, znaczenie, pojęcie jako składnik obrazowania, nie tylko myśli dyskusywno-poetyckiej. To pierwsze. Po drugie - bogactwo skojarzeń humanistycznych, bogactwo obrazów pochodzących z działań ludzkich, z kultury zbiorowej - ta niesłychanie ważna własność stylu Norwida.

Oto przykłady:

Nie wstydź się tych przelotów
polnych płomieni białych,
tych dźwięków a niestałych
takich jak w burzy złoto.

One na drzew dotyku
co stropu sięgać zda się,
są w cichym majestacie
Bogu-muzyką.

I obleczone w pióra,
czy w przezroczysty niebyt
każde są drogą w chmurach,
albo po niebie,

nazywaniem snów wrzących
napełnieniem pachnącym
i krwią w powszednim chlebie.
- - - - - - - - - - - - - - - -
Jesteś jak mistrz - rzemieślnik, który
wykuwa tam, gdzie widzi formy
i zetnie tam, gdzie głaz oporny,
a żywy wzniesie w górę.

I widzę kościół wszechstworzenia -
gotycki łuk po łuku wznosisz
w powietrzu kując kształty przemian
i słup wielości.
/"Młot"/

Przypominam również z cytowanego urywka "Legendy" delfiny jak liry, wyspy jak uśmiech. Taką była przecie sztuka Norwida: ze znaczenia czynił on element swobody poetyckiej. U Pana bywa odmiennie: znaczenie, element intelektualny służy często prostemu zdobnictwu, zaznaje tej samej przemiany, co obserwacja malarska przechodząca w płaską ornamentykę. Jednakże, zaznaczam szczerze, nie wszystkie konsekwencje tego postępowania wydają mi się szczęśliwe. Z nadmiernego nasycenia znaczeniem powstawać mogą prozaizmy zbliżone tym, jakie na podobieństwo Krasińskiego / a to zła tradycja:/ popełnił Norwid. Oto jeden z kilku dowodów u Pana:

Nie wstydź się miłowania,
tworzenia, dorastania;
w żelaznej żądzy twojej
ona jest płomień nieba,
co sztabę tak rozgrzewa,
że kując niepokojem
przemienisz w wieżę pragnień,
do której czyn się nagnie.
/"Nie wstydź się tych przelotów"/

To są niebezpieczeństwa. Cóż, próbuje Pan nowej drogi, trzeba czymś opłacić utwory skończonej piękności, nikogo na myśl nie przywodzące, Pana samoswoje liryki, aczkolwiek z nakreślonych tendencji poczęte. Pisząc to na myśli mam przede wszystkim "U niebios rozkwitających", "Z szopką" i "Pragnienia".

Powiedziałem, że nie wiem dokładnie, na czym polega oczywista wspólność z Miłoszem i Czechowiczem. Może poprostu na tym, że ta arealistyczna wizyjność, której źródła są w Słowackim, jest wspólna całej najmłodszej liryce. U Czechowicza dąży ona do wielkości, do lapidarnego a jednak bardzo plastycznego i śpiewnego skrótu. Gdy u Pana wszczepi się element intelektu, ku zbliżonej celności ciążą wiersze Pana, i stąd zapenw Czechowicza wyczuwam jako towarzysza. U Miłosza natomiast ta wizyjność zmierza ku planom i ramom szerokim. Kiedy u Pana nie ma domieszki intelektualnej, wynik jest zbliżony i tak samo na szerokim obrazie zbudowany. Stąd w ogólnym wrażeniu, ogólnym nie w znaczeniu ogólnikowego, lecz wrażeniu-sumie artyzm zdobniczy Pana zdaje mi się bliższy Miłosza niż Czechowicza.

Artyzm to bowiem, czyż mam dodawać, całkowicie współczesny i świeży, odpowiadający z wielką konsekwencją dzisiejszym wymaganiom świadomości poetyckiej. Doskonałym przykładem takiego skojarzenia konsekwencji z świeżością wydaje mi się "Ballada o rzece". By ją należycie ocenić, trzeba przede wszystkim pamiętać o samym terminie ballada, który tu nie jest czymś doczepionym i wtórnym. I trzeba sięgnąć w przeszłość, w tradycję, by zrozumieć - nowość.

Ballada zaznała rozgłosu i stała się jedną z form głównych wśród pierwszych romantyków. Odpowiadała potrzebom fantastyki i ludowości. Ale wówczas, w jej pierwocinach, wystarczyła fantastyczność i balladowość treści, niezwykłość zdarzeń, by spełnione zostały wymagania tej formy. Ballada się rychło przeżyła, by dopiero na tle wyrafinowania estetycznego modernistów dojść swoich praw. Z jednej strony służyła bardzo wyrafinowanemu prymityzowaniu, szukaniu w poezji ludowej jej kunsztu /przekłady Porębowicza, Ostrowska/, z drugiej - przypadek znacznie ciekawszy - element balladowości i fantastyki został przeniesiony w inną sferę utworu - w jego formę i język. To rozliczne, równie ciekawe jako dzieło co jako ogniwo pewnej ewolucji, ballady Leśmiana -

- ballady niewątpliwe, chociaż nie noszą tego tytułu. Balladowość ich mieści się najgłówniej w <u>fantastyce słowotwórczej</u> poety, ale magii słowa towarzyszą jeszcze elementy treści balladowo-fantastycznej. Ogniwo pośrednie, lecz bynajmniej poślednie, właśnie że znakomite.

"Ballada o rzece". Cóż jeszcze z fantastyki treści dziś można wydobyć w takim temacie? Że w rzece są wodniki, rusałki, topielce? Owszem, nie przeczę. Treść balladowa jest już wyschniętym źródłem. Wobec tego cały pierwiastek balladowości zostaje sprowadzony do gry obrazów. Ballada jest <u>balladą obrazów</u> o jednej, łącznej podstawie: wszystko co płynne, wszystko co z tym żywiołem pokrewne, niech składa swoje obrazy, niech te swobodnie się kojarzą. Płynne nie tylko wodnie - rzeka, ryba, deszcz, chmura, piorun, błysk pochodni... Elementy treści balladowej dawnego pokroju już nie istnieją. "Treścią" ballady jest treść skojarzeniowa jej obrazów, jednordzenność tych obrazów, płynna, chwiejna, a jednak jakżeż konsekwentna <u>fala obrazów:</u>

Rzeka pachnie jak ryba,
ryba jest liściem deszczu
oderwanym od białej gałęzi szelestu,
od zbuntowanych okrętów chmur.
A wyginane rybitwy
złożone do wiotkiej modlitwy
ciągną niebem błyszczącym jak brzeszczot,
omotujący ciasno sznur.
Rzeka się w niebie odbija.
Czy niebo rzekę wymija
tocząc kuliste chmury na drugi brzeg?
\-
Słońce zewsząd zapala się w łusce,
płynę w lejach - szklisty wodnik.
Rzeka pachnie jak ryba,
w porcie prąd się urywa,
płynę wodą, piorunem, czy błyskiem pochodni
trup o oczach jak obłok zastygły.

Oto, powtarzam, instynktowne, intuicyjne odczytanie tego co konieczne, co dopowiedziane być musi do ogniw przeszłości, by dokonała się nowość. Lecz dość o przeszłości, dość o patronach, towarzyszach. Gotów Pan pomyśleć, że całą wartość liryki Pana sprowadzam do dobrze dobranych patronów. Gdyby tak być miało, targam ten list. Zastanawiałem się nad tymi sprawami by dotrzeć, gdzie biją <u>źródła</u> stylu Pana. Nie - gdzie są jego <u>ujścia</u>.

To są bowiem w utworach skończenie własnych, pełnych swoistego czaru, po którym poznawać odtąd będziemy wiersze Pana, w utworach świadczących o całkowitym zasymilowaniu i przetworzeniu wymienionych powinowactw. Ponieważ tylko nieliczne z tych wierszy będę mógł w tym liście szczegółowiej rozpatrzeć, niechże je przynajmniej wszystkie wymienię: - "Ballada o rzece", "Legenda", "Przypowieść", "Z szopką", "Historia", "U niebios rozkwitających" i wszystkie erotyki. Pozwoli Pan, że mniej będę mówił o artyźmie, a natomiast ukażę niektóre momenty uczuciowości, o ile mnie osobiście wydają się istotne. Dlatego to zastrzeżenie, ponieważ wolałbym wnioskować na szerszym materiale utworów, ale wówczas tego listu nie otrzymałby Pan przed nastaniem pokoju...

Nie jestem przeciwnikiem tematów aktualnych, wojennych i okupacyjnych, z tymi wszystkimi konsekwencjami, które podobny temat implikuje: groza, okrucieństwo, zło, nic z łatwego zbudowania i moralizowania mimo jedynej możliwej postawy, tragiczno-moralnej. Jak mogę, głoszę to przekonanie. Nie jestem przeciwnikiem, z wzruszeniem i wdzięcznością witam wszystko, co świadczy że ten ogrom cierpień i zła zostaje utrwalony i podany współczuciu, podany blaskowi piękna, póki ono zdolne tym potwornościom przyświecić. Wierzę głęboko, że jeśli czujne pióro nie sięgnie w te otchłanie upadku i bohaterstwa zarazem, jeżeli ono ich nie zmierzy, mogą pozostać zapomniane. Jest pewna pojemność zbrodni i zła, której trudno już docieć w czasie spokojniejszym, którą trudno wówczas wymierzyć. Dlatego zastrzeżenie, by Pan nie rzekł, że ostotyzuję. Bo jako coś bardzo czystego, coś wyswobadzającego odczuwam fakt, że liryka Pana nie poddaje się łatwo tej pospólnej nam udręce. Jest wolna od niej w temacie w bezpośrednim podjęciu skargi czy wątku, ale w fundamencie uczuć mieści ją już w kształcie przyszłym, w formie oczekiwań naszych, nadziei. Już Panu pisałem - oby spełnionych rychło. Strumień w czasie burzy nie przestaje szeptać, choć mało kto go słyszy. I strumieniowi wolno swoje szeptać.

W najlepszych lirykach Pana dojrr.owa z nn.sz.yoh konkretnych przeżyć coś, cobym na swa 1 orawem.tych przeżyć, coś co joat pokor? i ściszeniem woboc nasoych bólów i spraw, albowiem taką jak mas zn 1 niezmienną jest norma bytu historycznego i bytu ludzkiego. Dlatego zapewne w utworach Pena kilkakrotnie tematom snmyś lor.ia joat prawda his tor. x. Najpiękniej w wierszu ''Historia" jawi się ta znamienna dla owych lamyśleii równość historii wobec cierpienia . Oclpa to tycznia Pan his torię,ściera łatwość legendy, loc z by ukazać wspólność i współczuciu ludziom, kt,orzy aawaza cierpieć musleli:

Arkubuzy dymiące jeszcze widzę
jakby to wozoraj u głowie lont spłonął
i kanonier ręko juwćczo trzymał,
gdzie dziś wyrasta liść zielony.
W błękicie powietrza jeszcze to miejsca puste,
gdzie brak dłoni i rapiurów śpiewu,
gdzie teraz dzbany wrzące jak usta
pełne,kipiące od gniewu'.
Ach pułki kolorowe,kity u czaka,
pożegnania wiotkie jak motyl świtu
i rzęs trzepot,śpiew ptaka,
pożegnalnego ptaka w ogrodzie.
Nie to marzyć,bo marzyc krów
to krew ca śama spod kit,czy hełmu.
Cza;; tylko tak warczy jak Iow
nr ze c iąra j r c ob 1 o1:ów we łną .

To równość skierowana ku prr^s-.łońci. Cierpieli jak my i przeminęli. Krów jest ta sama spod kity ozy hełmu. Ta równość posiada także oblicze drugie. Przepływają w nas cierpienia naszo, one są dla. ima najważniejsze, ale mimo ich doniosłości naszej przeminą. Stаną się miejscem pustym w przestrzeni, trawą na grobach,wspomnieniom. Istnieją i taka równość historii wobec cioroiunia:

Stoisz u okna. Za oknom
armaty dudniąc jadą
i w śmierci otwartym okiem
mierzysz jak będą głębokie,
otchłanie, wdół.
^.»4 — — — — — i-** — —
Wioa z,że cię tak postawiono,
aby już szły bez końca
pr-.ez ciebie czarne pochody
spalonych jak węgiel ciał.

I wiesz i po głosie umiesz
twarze spalone zrozumieć
choć ani ust, ani oczu,
ni ciała spocznienia nocą,
ani rozprysły dom.
/"Wizerunek"/

Kształt historii,kształt religii. Kształt niepokoju,który pyta o sens doli ludzkiej,poczętej z ziemi,smutnej i współczucia godnej.Myślę, że jest to drugi, od nurtu historii niemniej ważny,nurt liryki Pana.Przyznam się,że jest bardziej oczywisty w czytaniu, ale nie jest łatwy w analizie. Napewno jest bardzo chrześcijański, w tym podwójnym obliczu chrześcijaństwa: prawda egzystencji ludzkiej, której nie wybielisz, nie wyłagodzisz i prawda modlitwy, prawda zaświata. Obydwie prawdy żyją w liryce Pana. W tonacji uczuciowej, dzięki której żyją, jest moment chrześcijański również i w opanowaniu uczuć, jak opanowane być musi każde prawdziwe współczucie.

Piszę to Panu, a ciągle myślę o tym przedziwnym wierszu"Z szopką",o tym wspaniałym kontraście strofy pierwszej i ostatniej, o tych prawdach naszego bytu,nazwanych przez Pana w obrazach o równie zdumiewającym kontraście subtelności i ostrego realizmu:

Górą białe konie przeszły,
trop dymiący w kłębach stanął.
W gwiazdach płonąc cicho trzeszczy
wigilijne siano.
Spoza gór,czy sponad ziemi
anioł biały? kruchy mróz?
starcy w niebo nachyleni?
Anioł biały szopkę niósł.
- - - - - - - - - - - - - - - - -
Aż na grudzie stopą lekką
stanął niby mgłą i skałą
i koślawe,głodem ścięte
ujrzał w ziemię wbite - ciało,
żeber czarnych łuki spięte,
poskręcane rydle rąk,
brzuch jak bęben życia wzdęty,
brzuch zsiniały,brzuch jak tłok.
I zawrócił. W nieba plusk
poczerniałą szopkę niósł.

Wyosobnił Pa n w oddzielną grupę swoje erotyki. Jest ich cztery zaledwie za mało by snuć sądy decydujące, ale i tak one to w "Wierszach wybranych"

najbardziej może pozwalają stwierdzić, jak daleko Pan zaczyna od obyczajów duchowych dwudziestolecia. Mnie zaś w zakończeniu tego listu, którego długości nie weźmie mi Pan za złe, pozwalają powrócić do zdań, jakimi go rozpoczynałem: o tej poniechanej tradycji niedawnej...
Widzimy dzisiaj, że poza nielicznymi bardzo wyjątkami pisarstwu dwudziestolecia, a zwłaszcza jego liryce brakowało zupełnie tonu miłości. Od Tetmajery nie mieliśmy prawdziwej liryki miłosnej. Spowodowały to zjawisko przede wszystkim przemiany obyczajowe, swoboda erotyczna tych lat. Ale słowo takim przemianom jest dosyć opornem, póki ktoś nie ośmieli. Otóż ośmieliły, tę specyficzną tonację erotyzmu wprowadziły, rozwinęły i kultywowały, należy im tę wątpliwą zasługę pozostawić - pisarki nasze. Nie wszystkie. Pan wie, dobrze, które mam na myśli. One to uczyniły z liryki miłosnej, jak pewna miła osoba rzekła mi wśród rumieńca - i ten rumieniec był cenniejszy od samej nazwy - uczyniły poezję owłosionego podbrzusza...
Ta krzykliwa brutalność typu fizjologiczno-postępowego zastąpiła miłość swoistą <u>filozofią mant</u>. Manty, czyli modliszki, opisuje ich obyczaje Fabre, są to owady, których samice w czasie zapłodnienia pożerają samców. Wielu z pisarzy ku tej filozofii mant podciągnęło się w sposób, który wnet zakasował nasze domorosłe modliszki. Biedne jadło mant!...
Uderza mię przeto w erotykach Pana ich powściągliwość i czystość, być może, że jaskółki jakiejś innej, bardziej męskiej poezji miłosnej. Bo przyzna Pan, że tamta licytacja na erotyzm nie była sprawą bardzo męską. Uderza mię powściągliwość tam, gdzie wśród modliszek bywało właśnie najgłośniej:

Przysiadają na mnie modlitwy
przelotne, ach przelotna.
Elementarne bitwy
trwożne, samotne.

Uczę się ciała na pamięć
i umiem. Widać dusza
jest jeszcze, która kłamie
i we mnie śmierć porusza.
/"Pragnienia"/

Nie sądzę,by miłość była jedynie formą instynktu i doboru.Jest główniej formą wierności i czytam:

Nie ciemność.Przez nią przepłyniem
a ręce na niej - promień
w błogosławionym czynie,
w żyjącym gromie,
bo i z krzemienia się śpiewa
wieczność rosnąca drzewa.
/"Wyroki"/

Gdybym nie list Panu pisał,lecz recenzję,powinienem w tym miejscu przepowiadać Panu wiele się każącą spodziewać przyszłość poetycką.Pan wie? "Dawno nie mieliśmy debiutu,który w tak szerokiej i doskonałej skali etc." Powiem Panu prościej i po przyjaźni: byłem do głębi i radośnie wzruszony,kiedy przed rokiem przeszło dotarły do mnie pierwsze liryki Pana.Nie zblakło nic z tego radosnego wzruszenia,kiedy je czytam dzisiaj. List mój jest tylko prostym podziękowaniem za to uczucie,podziękowaniem w formach,do jakich obowiązany jestem.

Przed laty dziesięciu mniej więcej,nieco później,nieco wcześniej,odezwała się poezja,która i duchowo i artystycznie jest mi najbliższa.Mam na myśli więcej nazwisk,lecz oznaczmy ją symbolicznie tym jednym imieniem - Miłosz. Od tej pory dopiero Pan. Wśród rówieśników Pana jakoś dotąd nikogo nie usłyszałem. Nie każdemu tak wcześnie jest dana pełna dojrzałość artystyczna. Jest Pan pierwszy i życzyłbym Panu,by nie tylko w chronologii wystąpień pozostał Pan pierwszy. Nie życzyłbym wszakże Panu,by Pan pozostał samotny. Chciałbym mam nadzieję,że wszystko co żywotne i świeże w liryce Pana,odczuwane będzie przez Pana rówieśników jako podobnie ich dotyczące zadanie poetyckie.

Zakończę życzeniem,takim,by zgorszyć duchy w których zwyczaje musieliśmy wejść,Pan pisarz,ja czytelnik.Miło jest pisać według zamierzchłych porządków list,lecz mimo to życzę Panu i sobie,ażeby ten list pozostał pierwszym i ostatnim...

5.maja 1943.

Wiersze Jana B u g a j a z tomiku p.t."Wiersze wybrane " wydanego przez Wydawnictwo Biblioteki rękopisów Lwów 1939.

Legenda.

Wydęte karawelle o żaglach z czerwonych motyli
pachnące cynamonem,pieprzem i imbirem
upływają po morzach mosiężnych,a w tyle
delfiny ciągną jak antyczne liry.
Jacyż na rufach zdobywcy
odlani z płynnego złota,
w pieśniach wysmukłych jak skrzypce,
z puszystym wejrzeniem kota.
A zawsze tak samo daleko
dzwonią na widnokręgu
maleńkie archipelagi,
które dosięgnąć ręką.
Tam w wyspach małych jak uśmiech,
przez dżungle tygrysiej trawy
wędrują złote strusie
i szylkretowe żyrafy.
W różowym hamaku wybrzeża
koń purpurowy gna,
a z dziupli zagląda w pejsaż
maleńki induski strach.
Kto ten krajobraz zbudował
na wiotkim cieniu zamyśleń,
nad trąbką wiatru wydymał
policzki wezbrane jak wiśnie ?
Oto zwrotniki płonące
jak złoto - czerwone piekło.
Maleńkie archipelagi
zawsze tak samo daleko.
Strzelały race gwiazd
w przestrzeń wydętą i ślepą,
spadały księżyce napłask
do dna stopionego w srebro.
Śpiewały ryby skrzydlate
pieśni przejrzyste i szklane,
kiedy w wyblakłe rano
okręt upływał nad światem.

Oto legenda marzeń,
drżących ptaków ze snów.
Nocą to-tylko żeglarze
płyną na dziwny łów.

Patrzeć,patrzeć na niebo smutku,
nad ciemne drzewo historii-
tam białe trupy zdobywców,
herosów zastygłych w orion.
Tam tylko w hamaku plaży
dziewczynki z miedzi kołyszą
pieśni zgubionych żeglarzy
zarosłych czasem i ciszą.

Młot.

Czuję Twój młot przejrzysty - Panie,
kiedy mnie kruszy z nocy w noc
i wiem : gdy skruszy - zmartwychwstanie
niebieski kłon.

Jesteś jak mistrz-rzemieślnik, który
wykuwa tam,gdzie widzi formy
i zetnie tam,gdzie głaz oporny,
a żywy wzniesie w górę.

I widzę kościół wszechstworzenia : -
gotycki łuk po łuku wznosisz
w powietrzu kując kształty przemian
i słup wielości.

Widzę dojrzałe już i pełne
ptaki i drzewa syte dłuta,
a ja - czy jestem w nieśmiertelność
ból i pokuta ?

A ja,czy zawsze niedojrzały,
abym ja- ognia pełen dzban
tak pod twym młotem stał się trwały
jak zasklepienie niebem ran ?

I pada młot Twój ostateczny,
aż ciało stanie ziemi-puch.
A ja - czym taki posąg-duch,
że mi przez ból - być posąg wieczny ?

Historia

Arkebuzy dymiące jeszcze widzę
jakby to wczoraj u głowic lont spłonął
i kanonier jeszcze rękę trzymał,
gdzie dziś wyrasta liść zielony.
W błękicie powietrza jeszcze te
miejsca puste,
gdzie brak dłoni i rapierów śpiewu,
gdzie teraz dzbany wrzące jak usta
pełne,kipiące od gniewu.
Ach pułki kolorowe,kity u czaka,
pożegnania wiotkie jak motyl świtu
i rzęs trzepot,śpiew ptaka,
pożegnalnego ptaka w ogrodzie.
Nie to że marzyć,bo marzyć krew
to krew ta sama z pod kit,czy hełmu.
Czas tylko tak warczy jak lew
przeciągając obłoków wełną.

Płacz matko,kochanko przebacz,
bo nie anioł,nie anioł prowadzi.
Wy te same drżące u nieba,
wy te same róże sadzić jak głos
na grobach przyjdziecie i dłonią
odgarniecie wspomnienia i liście
jak włos
siwiejący na płytach płaskich.
Idą,idą pochody,dokąd idą,
które prowadzi jak wygnańców łaski
ląd krążący po niebie.A może
niebo po lądzie dmące piaskiem
tak kształt ich zasypuje.Jak noże
giną w chleb pogrążone-tak oni
zwolna spływają,piach ich pokrywa.

Jeszcze słychać śpiew i rżenie koni

CENA KRWI.

1. Edward wszedł do sieni, nie zdejmując czapki, począł nerwowo kręcić papierosa. Elżbieta wybiegła naprzeciw, dopytując sie o nowiny. Wiedziano, że Edward ma narzeczoną w Ornowicach i był u niej poprzedniej nocy. Tam zastały go te wypadki. Teraz jest południe i Edward zjawił się nareszcie, poprzedzany trwożliwie szeptanemi z ust do ust wieściami o wczorajszej ornowickiej sprawie.

Delikatnie ślinił bibułkę i szeroko otwartemi oczami wpatrywał się w zdenerwowaną Elżbietę, nie odpowiadając na jej pytania. Wiatr zamknął z trzaskiem drzwi sieni i Andrzej zawołał z pokoju:

- Chodźcie tutaj, Elżbieto, przeziębisz się - i wychylając głowę dodał :

- Edward, nalałem ci wódki.

Anka pojechała o świcie do Niewymierza i dotąd nie wróciła. Począł mżyć deszcz, drobnymi kroplami opryskując apaszkę Elżbiety, leżącą na otwartym oknie. Tadeusz z rękami w kieszeniach chodził wokoło stołu. Za oknem krzyczała Zośka:

- Ojej, to az i deszcz - panienka zmoknie, a błoto... Franek nie doczyć ci się karo ! - reszta słów ginęła w gwarze folwarcznym.

Andrzej pyta krótko:

- Kiedy się to zaczęło?

- Przed północą. Dwie ciężarówki i jedno mniejsze auto. Jeden karabin maszynowy - oprócz tego każdy miał krótką broń automatyczną - Edward nie posiada nawet elementarnego wykształcenia, ma jednak dużą wrodzoną inteligencję, wyraża się poprawnie. Chciwie wypił wódkę, zaciąga się papierosem.

- Odebrali mi dokumenty.

- Tak - mówi Tadeusz.

- Mówili: jeszcze te dwa miesiące wytrzymasz bez nich. Nie będą ci potrzebne.

Andrzej śmieje się.

- A potem...no,ten drań Doliński już ziemię gryzie. Nietylko on,bo i nauczyciela z dworu zastrzelili odrazu. Zaczął im wymyślać od komunistów i skurwysynów... A Doliński to drań - jak przyjechali,wyszedł bez broni i mówił, że on trzyma z nimi, a do policji wzięto go przemocą. Wtedy jeden z tamtych przypomniał mu Katję, która z jego łaski siedzi już miesiąc w Oświęcimiu. Potem strzał z tyłu i Doliński upadł z małą dziurką w czaszce. Rewidowali wieś - dwór miał duże zapasy,nie licząc nieoddanego jeszcze kontygentu.

Edward nachyla się do ucha Andrzeja:

- Spałem z moją dziewczyną,zbudziły mnie strzały i zaraz potem trzech weszło z latarkami elektrycznemi. Bardzo silne światło,oślepiło mnie. Śmiali się - no,byłem,psiakrew,bez spodni. Waśka przykryła się z głową,mnie kazali wstać,ubrać się.Odebrali mi papiery - powtarza i znów się trąca z Andrzejem.

Tadeusz pocichu:

- Będą represje. Tutaj przyjadą napewno.Nie desant,to Gestapo. Piękne czasy,co?

Elżbietę denerwuje długa nieobecność Anki, Edward stara się ją uspokoić:

- Panienka miała być w starostwie i u komisarza.Kombinuje względem kontygentu. A w Niewymierzu spokój - niema strachu.

Deszcz coraz silniejszy.Elżbieta zamyka okno,mokrą apaszkę wiesza na krześle.Edward teraz dopiero zdejmuje czapkę, niepewnym ruchem przygładza włosy. Na czole ma dużą szramę,oblepioną zakrzepłą krwią.

- Uderzyłem się - odpowiada wymijająco na pytające spojrzenie Elżbiety. Andrzej szuka papierosów,mówi coś obojętnie do Tadeusza. Edward wychodzi z pokoju,zamykając drzwi delikatnie i jakby uroczyście.

Elżbieta poprawia włosy przed lustrem. Jest szczupła i drobna,jej

matka choruje na gruźlicę. Twarz Elżbiety jest biała, mimo długiego pobytu na wsi, słonecznych dni, nietknięta opalenizną. Niebieskie, krótkowzroczne oczy o rozszerzonych źrenicach spoglądają naiwnie z poza grubych szkieł. Włosy ma bujne, kasztanowate, prawie rude. Wojnę przeżywa Elżbieta jak coś, będącego poza nią, ściśle objektywnie choć właśnie splot spraw wojennych każe jej wieść życie niepewne i awanturnicze, niszczy jej nerwy i wyczerpuje ciało. Andrzejowi błyskawicznie przebiega przez myśl niezwykła historia Elżbiety, tragiczna, a prosta i - w sensie aktualnym - codzienna, ale dziewczyna pyta go teraz nieswoim głosem:

- No cóż, Andrzeju -?

- To było do przewidzenia. Ty sama byłaś przecież oddawna przygotowana na to, że partyzanci zainteresują się wreszcie sąsiednimi wsiami. Nie boisz się ich chyba?

- To nie, ale...

- Gestapo - wtrąca Tadeusz - też nic ci nie zrobi. O ile tutaj wogóle przyjadą. Ja wprawdzie myślę, że tak, ale ostatecznie...zresztą gorsi są w tym wypadku ukraińcy. Czy między Anką a nimi niema nieporozumień ?

- Raczej nie. Anka ich nie zna, więc nic jej nie obchodzą. Ona najspokojniej administruje Lapinem - pozatem nic chce o niczem wiedzieć.

- To dobrze - mówi Andrzej.

Elżbieta podchodzi do patefonu. Za chwilę tango "Illusion", jej ulubiona melodia. Andrzej zapala nowego papierosa - wraz z piosenką wraca doń bliskie wspomnienie Marii i dzika, nieodparta tęsknota. Tadeusz tań czy z Elżbietą, Andrzej wychodzi na deszcz.

Edward stoi pod rynną, zbierając dłonią deszczówkę, zmywa krew z czoła.

- Któż cię tak urządził ?

Chłopak patrzy w oczy Andrzeja, uśmiecha się chytrze:

- To była bujda. Partyzanci nie zastrzelili Dolińskiego. Jak weszli, to on uciekł z posterunku i przyszedł do mojej. On z nią dawniej cho-

dził, a teraz chciał się ukryć. Przeczekać.

Andrzej odwraca się z udaną obojętnością. Deszcz nie przestaje padać, ale na nieboskłonie ukazuje się tęcza, szeroka i mglista, urokiem siedmiu barw przykuwająca oczy. Powietrze jest czyste i wonne, ciepłe i delikatne. Popołudnie łapińskie, pełne spokoju i ciszy spływa na dwóch ludzi, stojących przed domem, młodych ową poważną, gorzką młodością czasu wojny. Drzewami porusza lekki wiatr.

- Napiłbym się jeszcze - szepce Edward - nie lubię, to prawda, ale dziasiaj napiłbym się.

A gdy Andrzej stoi nieruchomo, dodaje:

- No tak, więc to on mnie zbudził. Poznałem go w drzwiach - mimo, że było ciemno - po mundurze. No, Katja była moją krewną. Nie chciałem budzić Waćki i chwyciłem go za gardło. Bronił się i od niego mam tę pamiątkę. Wreszcie Waćka krzyknęła i wtedy wpakowałem mu nóż w serce. To ja zabiłem drania.

Andrzej patrzy w twarz Edwarda. Ich oczy spotykają się i trwają długą chwilę w spojrzeniu odważnem i szczerem.

Z pokoju brzęczy karmelkowe tango "Illusion".

"

" "

2. Anka wróciła przed wieczorem, zmęczona i głodna, po nędznym, a drogim obiedzie w niewymierskiej restauracji. Oddała klacz chłopcu i leniwie uderzając szpicrutą o cholewy, podeszła w stronę zabudowań. W kuchni zastała Elżbietę na przyjacielskiej rozmowie z Zośką. Usiadła, zanurzyła dłoń w niesfornie wijących się, popielatych włosach.

- Co nowego ?

- Eh, nic. Dokuczają kontygentom - niema mowy o jakichkolwiek ulgach. Dopiero wtedy będzie nam lepiej, gdy uda mi się przewieść wódkę do Krakowa. Dwieście litrów - nie bagatela. Będziemy mieć pieniądze.

- A w Ornowicach ?

- Jeszcze nic. Przynajmniej w Niewymierzu nic nie wiedzą. Narazie spokój.

Elżbieta, patrząc na Ankę, myśli o dziwacznej sytuacji tej dziewiętnastoletniej dziewczyny, której powierzono prowadzenie folwarku na zapadłej wsi, w niepewnej okolicy, w czwartym roku wojny i okupacji. Anka daje sobie radę, pochodzi z ziemiańskiej rodziny, ma to we krwi. A ona, Elżbieta . Lepiej nie wspominać. Elżbieta nie lubi myśleć o swojem życiu w ciągu tych czterech niespełna lat. Jeżeli po wszystkich doświadczeniach, może uwierzyć jeszcze w przyjaźń dwóch kobiet, skłonna jest przypuszczać, że z Anką żyje w przyjaźni. Ale Anka jest jej potrzebna, jest teraz gwarancją jej egzystencji. Elżbieta myśli trzeźwo: Cóż dziwnego, że przywiązałam się do niej, nie może być inaczej, byłabym nierozsądna - ryzykuję wszystko. A Anka? Nie ryzykuje nic - przeciwnie, byłoby jej lżej, a jednak zatrzymuje mnie u siebie. Przyjaźń ?

- Elżbieto, dziś jemy lane ciasto - Anka dysponuje kolację, potem odchodzi. Dom mieszkalny położony jest nieco dalej, po drugiej stronie szosy. Cały folwark stoi na uboczu, w znacznem oddaleniu od zabudowań wsi. Samotnia dwóch dziewcząt w blasku czerwonej, wieczornej zorzy.

- Pani dziedziczko - bąknął tonem przeprosin Edward, który potrącił Ankę w ciemnej sieni.

- Byłeś tam wczoraj ?

- Byłem.

- Żenisz się ?

- Eh - zniżył głos i szeptem zwierzał się Ance :

- Z nią nie. Za głupia dla mnie. Na noc przyjść można, a jakże, ale mieć to codziennie, przez całe życie - nie, nie, pani dziedziczko...

Ance śmiać się chce z "dziedziczki" i z wymagań małżeńskich swojego młodego rządcy, ale mówi tylko :

- Każ przynieść lampę do pokoju - i trzepnąwszy go lekko szpicrutą

w daszek czapki,znika w mroku.

Wypogadza się.Wieczór napływa do okien falą ciepłego zapachu.Poprzez przecierające się chmury błękitnieje firmament.Anka otwiera okno,wpuszcza zapadającą noc.

- Gdzie jest Andrzej? - myśli zdziwiona,Tadeusza niema także.Andrzej bliższy jest Ance,polubiła go odrazu za jego niewymuszoną prostotę i swobodę.Ujął ją swoim pogodnym sposobem bycia - dziwi ją wesołość Andrzeja, o którym wie, że przeszedł wiele trudnych chwil - takie wspomnienia nigdy już nie pozwalają śmiać się zupełnie szczerze.A jednak Andrzej się śmieje i Anka nie wie o tem,że swoją młodą filozofię życia zaprawił w znacznym stopniu bezwzględnym,lecz zdrowym cynizmem, a śmiechem stara się ukryć wszystko. Anka nie zna jeszcze szyderstwa.

Tadeusz rozumie się z Elżbietą - to widzi każdy. Odpowiadają sobie identycznym niemal temperamentem i całą skalą podobnych upodobań - może dlatego kłócą się codziennie - od rana do wieczora - wytrwale i głośno. Anka uśmiecha się i z rozkoszą wyciąga na łóżku, rozprostowuje ciało, zmęczone kilkugodzinną jazdą konną.

Noc lapińska przynosi spokój,ale jest to spokój pozorny.Obok domu spacerują dwie ciemne postaci - nocni stróże gminni, zamaskowani policjanci,pilnujący tutaj,na pustkowiu,przestrzegania godziny policyjnej. Śmieszne.

Tak właśnie myśli Andrzej,zatrzymany przez jednego z nich.Tadeusza legitymuje drugi. Dokumenty przyjaciół,wystawione w Krakowie, pisane po niemiecku i opatrzone wieloma pieczęciami,wzbudzają podszyty lekką niepewnością szacunek u dwóch półanalfabetów,strzegących nocy. Zmuszają ich do pełnego zakłopotania ukłonu. Andrzej wymienia z Tadeuszem kilka uwag na temat ludzkiej podłości,pachołkowstwa. Noc poczyna błyszczeć gwiazdami - chmur coraz mniej - niebo błękitnieje.

- Kocham poezję,jeżeli wyraża prawdę istnienia - to można dostrzec i w gwiazdach, egzaltacja, a nawet metafora jest tu zbyteczna. Poezję

systemu Zodiaku można zastosować do faz życia na ziemi, a zresztą... no cóż, ciepło... Andrzej kończy nieoczekiwanie.

Tadeuszowi przychodzą na myśl fragmenty rozważań Hansa Castorpa z czytanej właśnie "Czarodziejskiej Góry". Zaczyna mówić o Mannie, częstując Andrzeja papierosem. Daleko są w tej chwili od domu w Łapinie, razem z kłopotami gospodarczemi Anki i erotyczno-osobistymi Elżbiety. Chociaż Elżbieta...nie, to później. Rzeczywistość aktualna, rzeczywistość żołdactwa, policji, desantów i wojny jest w nich, ale milczy teraz wobec rozmowy o pięknie.

- Kocham poezję - powtarza Andrzej - poezja niesie braterstwo. Dla tych, którzy chcą to zrozumieć, ma siłę objawień. Nie poezja zakatarzonych starych panien, to prawda.

- W walce osiągam wielkość i świadomość. Mam na myśli zrozumienie odpowiedzialności. Osobiście nie potępiam Edwarda za to, że zabił Dolińskiego.

Tadeusz przystanął.

- Co ty...

- Tak, Edward to zrobił.

- Kto ci to powiedział, Andrzeja ?

- On sam.

Stoją przed domem, kończąc papierosy. Palą egipskie Tadeusza o gorzkim smaku, parzące język. Tadeusz nie może pozbyć się zdumienia.

Teraz przechodzi Elżbieta, niosąc kolację. Razem wchodzą do domu, witając Ankę żartobliwie głębokim ukłonem. Ciemność gęstnieje. Za chwilę Zośka przynosi lampę.

Ankę ogarnia niepokój. Mówi o zajściach w Ornowicach, o przewidywanych represjach. Elżbiecie udziela się ten nastrój. Mężczyźni starają się zbagatelizować całą sprawę. Znowu patefon i trzy wiecznie te same płyty. Stróże stoją za oknem, rozmawiają zcicha. Ance zdaje się, że ich ostry, szorstki głos kraje noc na niezrozumiałe, przerażające, geometrycz-

ne figury,wypełnione mrokiem. Mimo parnego,gorącego powietrza,zasuwa story,zaciemnia okna. Mówi półgłosem:

- O czem myślisz,Andrzeju?

"

" "

3. Weranda jakby zawieszona w sercu nocy,opleciona sennym winogradem. W szklankach drży biały alkohol,chłodny,zasnuwający szkło matową mgłą. W dole mrok pusty,bezdenny, w górze firmament wygwieżdżony i ciężaty. Noc lapińska jest tajemnicza,pełna niespokojnej ciszy. Zegar w sąsiednim pokoju wydzwania obojętną godzinę. Z mroku szmer świerszczów i koników polnych.

Gdy Anka przykręciła knot lampy,przed przejściem na werandę,Tadeusz wyzwolił się z pod obsesji dziwacznych cieni,tańczących naokół.W pokoju,jak we wnętrzu magicznej latarni, w centrum sabatu,przeżywał chwile trudne,pragnął otwartej przestrzeni. Zjawy na ścianach i u sufitu, chińskie dżonki,warkocze mandarynów,pirackie szpady i chusty,tancerki i akrobaci,kuglarze i muzycy, grający na specjalnych cymbałkach o przenikliwym dźwięku,wszystko to kręciło się,obracało,majaczyło w niezrozumiałym,diabolskim piruecie.Młyn makabryczny,huczący,bezsensowny.

Tadeusz wiedział, że dłużej tego nie zniesie.A ulec swym przywidzeniom,znaczyłoby przyznać się do własnej niemocy.Kołowrót.

Tadeusz nie jest pijany. Halucynacjom ulega dość często w takie wieczory.Potem pisze,notuje skwapliwie - rzadko kiedy coś z tego pozostaje.Nie,Tadeusz nie lubi pić.Ale teraz,gdy wyszli naprzeciw nocy,na werandzie,jak w łodzi,płynącej po morzu nieznanem i groźnem, nie ma nic przeciw temu, że Anka otwarła flaszkę. Szklanki dzwonią.Teraz mówi Andrzej:

- W czwartym roku wojny,w czwartym roku niewoli.Pamiętaj,Anko: jesteśmy razem,możemy rozmawiać o wszystkiem: o braterstwie, o niena-

wieci, ohydzie i pięknie, bezduszności i sztuce. A ja pamiętam i wiem, że przed pięciu, a nawet jeszcze przed czterema laty, siadywałem z przyjaciółmi, towarzyszami prac i nadziei, upadków i wzlotów, rozmawiałem z przyjaciółmi, z których bardzo niewielu dzisiaj jeszcze żyje. Lubiłem zwłaszcza jednego, kochany chłopak, neofita, który porzucił judaizm niedługo przed maturą, artysta, no tak. Pod Pszczyną był na szosie z działem przeciwpancernem - postrzał w nogę uniemożliwił mu ucieczkę w ostatniej, beznadziejnej chwili. Tank niemiecki przejechał go przez piersi. Stefan miał naturę szeroką i bujną. Nienawidził militaryzmu. Po jego chrzcie żydzi przeklęli go, a społeczeństwo katolickie nadal uważało go za obcego. Polska go nie chciała. Za co zginął ?

- Tak nie można - szepce Tadeusz, wpatrzony w księżyc oczami lunatyka - Każda śmierć ma sens i znaczenie. Jest potrzebna. Czytałem: W Chinach, w czasie komunistycznej rewolucji...

- To nie to, zupełnie... ależ skąd, o czem wy mówicie ? zapiera się Elżbieta. - Komu potrzebna byłaby śmierć moja ? A twoja ? A jej Tuczyma wskazuje Ankę. Polsce ? A nasze życie nie jest potrzebne nikomu ? - to są negatywy. Uważałam cię za rozsądniejszego.

Anka patrzy w noc wśród śpiewów świerszczy. Pobliski staw gra chórem żab.

Andrzej podnosi szklankę i jednym łykiem wypija chłodny, srebrny płyn. Bezwiednie krzywi się i obciera usta. Krew szumi w skroniach, pulsuje nierównym rytmem w sercu. Andrzej nie powinien pić.

Seledynowa poświata owija owija włosy dziewcząt, głowy jak w aureolach; najpospolitsza twarz staje się natchnioną maską, wyrazem wieczności. Czy noc lapińska jest nocą pokoju ?

Od bliskiej obory ciężki oddech bydła. Każda sztuka ma numer, wyryty na kolczyku, przekłuwającym ucho. Ścisła ewidencja. Gdyby Anka nie miała takich talentów życiowych... No, tak, właśnie w tem gronie ona jedna umie żyć po ludzku, normalnie, na ziemi. Andrzej, Tadeusz, Elżbieta - mimo pozorów to trójka "wielkich romantyków", niedobitki w poprzedniej epoki w najgłęb

szym podłożu. Bo napozór i nazewnątrz oczywiście: realizm,praktyczność, energia,wola. Silna wola. /To naskórek/.

O poręcz werandy opiera się ciemność,złotawa,migotliwa od gwiazd. Chłodno,wiatr wzmaga się,lekko muska twarze.Tadeusz w lśniącym,gumowym płaszczu,narzuconym na ramiona, z wełnianą chustką na szyi,recytuje półgłosem:

" ... sic te navis potens,
sic fratres Elenoae
lucida sidera,ventorumque regat
pater -
obstrictis aliis
praeter Yapyga ... "

Rytm horacjański,dzwoniąc,rozpływa się w pustce. Andrzej powtarza, czując na wargach słodycz : ... lucida sidera... jasne,błyszczące gwiazdy... podobne do monet, nie będących w obiegu,których brzęk nie skusi już nikogo -

Szumią dalekie drzewa,szeleści winograd. Daleko szosą,ciężkie kroki gminnych policjantów. A,psiakrew. Cóż dzieje się tej nocy,jakie i czyje spełnia się w niej przeznaczenie ? Kto przyjmuje walkę,kto wybiera obronę ? Komu dzisiejsza noc przyniesie śmierć?

- Gdy poraz pierwszy zobaczyłem morze, /miałem wówczas niewiele ponad piętnaście lat/, doznałem uczucia zupełnego,śmiertelnego osamotnienia. Nie potrafię tego określić: ból połączony z radością, obawa z zaciekawieniem.Porównałbym to z pierwszymi doznaniami rozkoszy miłosnej. Byłem dzieckiem, a równocześnie zrozumiałem własną odpowiedzialność wobec przyrody,życia i śmierci. Potem leżałem kilka dni w gorączce. Dzisiejsza noc przypomina mi tamte chwile,choć dzisiaj myślę inaczej. Czy mam prawo na siebie brać odpowiedzialność ? Ta noc,jedna z wielu nocy wojennych,przeczy samej sobie,jest właśnie po kobiecemu nieodpowiedzialna,wezbrana niepokojem. Noc gwiazd i samolotów bojowych, księżyca i armat. Noc trupów i zwycięstw,prostytuująca się w najhaniebniejszy sposób. To przykre...

/ Andrzej mówi,nie troszcząc się,czy jest słuchany.Elżbieta patrzy

weń szklistymi,nieruchomymi oczyma z poza grubych okularów. Anka - jak się zdaje - zasnęła z głową,opartą na dłoni. Tadeusz milczy/.

Nagle Andrzej urywa w pół zdania, unosi się z krzesła, z oczyma utkwionymi w jeden punkt, wysoko,ponad koroną odległej wierzby,czy topoli. Stamtąd, jak wachlarz,rozkłada się szerzej i szerzej rdzawa,straszna plama na granatowem niebie - łuna dalekiego pożaru. Rdzawe pole na niebie rozszerza się, jaskrawieje, jest coraz bliższe, rozsnute, jak krwawa mgła. W stronie Ornowic.

Teraz i Tadeusz zauważył łunę.Towarzysze spoglądają na siebie - oczy Tadeusza są ożywione i czyste, ani śladu wieczornych przywidzeń, czy lunatyzmu. Jakgdyby odblask pożaru zdarł z nich niewidzialne bielmo. Ornowice płoną.

- Tak szybko - mówi Andrzej - Wszystko to działa sprawnie.

- Spodziewałeś się tego ?

- Tego - sądzę,że nie.

- Wejdźmy do pokoju.

Elżbieta budzi Ankę, w głębokim przestrachu. To dla niej za mocne. Już ma w uszach trzask żarzących się belek i desek, w nozdrzach woń zwęglonych ciał. Krzyczy :

- Anko ! Zbudź się, Anko !!

I gdy, nakłonieni przez Tadeusza, wracają do pokoju, Andrzej kończy swoją niedopitą szklankę, a potem, nie mogąc oderwać wzroku od nieba, ozżarzażonego czerwienią, raz jeszcze powtarza szeptem suchych warg:

- ... lucida sidera ... o gwiazdy jasne,błyszczące,podobne srebrnym monetom,których nikt nie pragnie...

Ornowice płoną.

" " "

. . . .

Dzień ornowicki wstaje pochmurny,niepewny. Twarze mieszkańców,pokryte szarą bladością są podobne porannemu niebu,napiętnowane znużeniem i lękiem. Cóż stąd, że nocą ludzie padli ofiarą jednego gwałtu - życiem płacili wówczas ci,którzy zasłużyli na śmierć. A niewiadomo dla kogo dzień,który wstaje,będzie dniem ostatnim. Pachną łąki,rozrzucone szeroką zielenią i młode zboże,którego nie zbiorą prawi właściciele. Jest wcześnie. Jeszcze przed dwoma godzinami rzednący mrok osłaniał opuszczających wieś partyzantów. Nocni goście wydatnie uszczuplili mienie nawiedzonych. Chociaż głód nie byłby w tym wypadku najgorszą konsekwencją.

We dworze nie śpią od pierwszej chwili napadu. Stary Ornowicki długo uspakaja żonę i synową, które zbliska patrzyły na śmierć nauczyciela małej Krystyny, zastrzelonego przez dywersanta. Coprawda poczciwy Emil zanadto wziął sobie do serca straty materialne,jakie dzięki odwiedzinom desantu poniosą jego chlebodawcy. Zgubiły go nerwy i nieostrożna gadanina.

Kobiety ze dworu z chusteczkami przy oczach leżą w łóżkach,mała Krysia przycupnęła cicho nad jakąś zabawką. Ornowicki pali cygaro, nerwowym krokiem obchodząc gospodarstwo.

Lekki,bylejaki obiad jedzą w milczeniu. Nie powiedziano ani słowa, ale na twarzach zgromadzonych widać niepokój, oczekiwanie mających nastąpić wkrótce wydarzeń.

Zaczęło się wczesnym popołudniem. Warkot motorów z za niedomkniętych okien. Gdy Ornowicki wyszedł przed dom, we wsi roiło się od szarych hełmów. W słońcu, przedzierającym się teraz gdzieniegdzie przez ustępujące chmury lśniły klingi bagnetów na oksydowanych lufach i metalowe części broni maszynowej. Gwar,krzyki,przekleństwa,gardłowy dźwięk mowy niemieckiej. To wszystko.

Ornowicki wrócił do pokoju z wieścią :

- Przyjechali.

Głos mu nie zadrżał,stary umiał się opanować.Tylko oczy stały się bardziej mroczne i głębokie.Drobną,już pomarszczoną dłonią gładził włosy.

Wtedy rozległy się pierwsze strzały. Potem serie ręcznych karabinów automatycznych. Ornowicki rozszerzonymi nozdrzami łapie bezwiednie powietrze,jakgdyby pragnął zapachu krwi. Oczekiwanie jest torturą gorszą od innych. Znowu strzały i krzyki,dziki,obłąkany wrzask mordowanych.

We wsi bojówka SS. Łatwo jest likwidować przerażonych i bezbronnych SS nazywają to pacyfikacją,represją,której skutki mają być zbawienne dla przyszłego życia w spokoju i szczęściu. Ornowicki uśmiecha się szyderczo ściągając kąciki ust. Słońce coraz silniejsze, pierzchają chmury.

Nagle przez rozwalone z hukiem drzwi wpada Bronek,parobek przyjęty niedawno. Strzał,po którym w pokoju swąd spalonego prochu,kładzie go trupem u nóg Ornowickiego. W drzwiach SS-man z rewolwerem w dłoni. Za nim inni z krótkimi karabinami. Ornowicki zasłania sobą żonę,leżącą w łóżku. Tamci czekają chwilę.

- Psie,ukrywasz bandytów - zaczyna jeden w oczy Ornowickiemu - jetzt zeigen wir dir... - podnosi uzbrojoną dłoń, inny nagle podbija mu łokieć.

- Warte mal - es ware zu leicht...

Dwóch ściąga z łożek kobiety. Cucą zemdloną starszą Ornowicką. Z młodej zdzierają koszulę,podczas, gdy inni trzymają wśród siebie skutego dziedzica. Pozostawiona sobie ośmioletnia Krysia płacze,zanosząc się i zachłystując.

Syn Ornowickiego,mąż młodej i ojciec Krysi,lotnik,po przekroczeniu granicy w 39-tym,obecnie w służbie brytyjskiej,brał wielokrotnie udział w nalotach na Berlin, Hamburg i Bremę. O nim myśli teraz stary,w chwilach,gdy myśl służy mu jeszcze. W oczach zielonkawo szary kolor niena-

wistnych mundurów ,kłębowisko robactwa. W duszy - pogarda. I ból.

Gdy wyprowadzają ich z domu w górze niebo błękitne. Promienne słońce. Radość.

Długo muszą Ornowiccy patrzeć na karabiny, skierowane ku sobie, zanim usłyszą dobroczynną salwę. Krysia zginęła ostatnia, z brzuchem, poranionym szerokim,tyrolskim nożem SS-mana, z dwoma krwawymi kołami, wykrajanemi w skórze dziecęcej piersi. Później rozpoczął się masowy mord mieszkańców rozległej wsi,którym przedtem kazano się przyglądać egzekucji dziedzica i jego rodziny.

- So racht Deutschland jede Niederleistung. Wer die Banditen in Schutz nimmt,muss sterben...achtung,Genossen - mówi szef bojówki, jakby starając się brzmieniem tych słów oszukać własne okrucieństwo.

Zapada wieczór,wzrasta chłód. Zwłoki niepogrzebane stygną na ziemi, w którą wsiąka krew. W ciszy brzykanie świerszczów.

Ogień podłożono równocześnie w wielu miejscach. Ustawione posterunki mające za zadanie ochronę zasiewów i pobliskiego lasu. Reszta SS z warkotem motorów, wśród głośnych rozmów, żartów i śmiechu, wraca do bazy w Niewymierzu. Reflektory aut przeszywają ciemność.

- Jeżeli jesteś,Boże,musisz pamiętać tę noc - mówi las szelestem liści,mówią łąki i trawy muzyką polnych koników.

- Jeżeli jesteś,Boże,musisz szanować tę śmierć -

- Jeżeli pragniesz,żeby cię sławić,daj łaskę zemsty.

Groźna,olbrzymia łuna wypełnia tę noc niewidzialnego horyzontu, noc o nieokreślonych granicach. Okryte krwawym blaskiem trwają niemieckie warty nad zgliszczami. Pożar wzrasta wśród huku i trzasków,dojrzewa pomarańczowym płomieniem. Słup ognia, wytryskujący nagle pośrodku płonącej wsi, jest uroczystą pieczęcią,poświadczającą bezład przeznaczeń, cenę tej krwi.

——— 0 ———